

Traktat ateologiczny
Autor tekstu: **Michel Onfray**

Tłumaczenie: **Mateusz Kwaterko**

Fragmenty

W towarzystwie pani Bovary

Dla wielu ludzi życie bez bowaryzmu byłoby katogą. Wyobrażając sobie, że są kimś innym, niż są, rojąc, że ich życie wygląda zupełnie inaczej niż w rzeczywistości, ludzie uwalniają się wprawdzie od poczucia egzystencjalnej pustki, ale nie dostrzegają wówczas samych siebie. Nie gardzę wierzącymi, nie uważam ich za śmiesznych czy żałosnych, ubolewam jednak, że przedkładają kojące bajki dla dzieci nad okrutne przeświadczenia dorosłych. Wybór uspokajającej wiary, zamykanie uszu na ostry głos rozumu - choćby za cenę ustawicznego infantylizmu — to sztuczka metafizyczna, za którą trzeba zapłacić wysoką cenę!

Dlatego też zawsze, gdy jestem świadkiem oczywistej alienacji, odczuwam głębokie współczucie dla oszukanego i gwałtowną niechęć do zatwardziały oszustów. Nie darzę nienawiścią klęczącego człowieka, wiem natomiast, że nigdy nie będę paktować z tymi, którzy zachęcają go do trwania w pozycji tak poniżającej. Któż mógłby gardzić ofiarą? Jakże tolerować oprawców?

Duchowe ubóstwo prowadzące do samowyrzeczenia ma równie opłakane skutki jak nędza seksualna, intelektualna czy polityczna. Osobliwie jednak wyobcowanie sąsiada budzi uśmiech na twarzy tych, którzy nie dostrzegają własnej alienacji. Chrześcijanin pałaszujący w piątki rybę podkpiwa z muzułmanina, który wzdraga się przed wieprzowiną; ten zaś dworuje sobie z żyda brzydzącego się skorupiakami. Lubawicz kołyszący się przed Ścianą Płaczu patrzy ze zdumieniem na chrześcijanina modlącego się na

klęczniku, ów natomiast dziwi się mahometaninowi rozkładającemu dywanik w kierunku Mekki. Żaden nie pomyśli, że belka w jego własnym oku zaburza widzenie w stopniu nie mniejszym

Michel ONFRAY
Traktat ateologiczny

Państwowy Instytut Wydawniczy

patroni medialni

Pierwsze Radio Informacyjne
TOK FM

porozmawiaj o książce:
INTERIA.PL
www.książka.interia.pl

RACIONALISTA.PL

Manifest współczesnego ateizmu.
W Polsce pod patronatem Racionalisty
Książka dostępna [tutaj](#)

niż drzazga w oku bliźniego. Zmysł krytyczny, tak trafny i przenikliwy, gdy chodzi o osądzenie innych, warto może zaprzęgnąć do oceny prawideł własnego postępowania.

Łatwowierność człowieka przechodzi ludzkie pojęcie. Usilnie stara się on nie dostrzegać tego, co oczywiste, domaga się jedynie pociechy, łaknie jej jak kania dżdżu, choćby była czystą ułudą i fikcją. Wolimy słuchać bajek, mitów, dziecięcych opowiadań, niż być świadkami okrucieństw i cierpień, które zmuszają do uznania tragiczności życia za fakt niepodważalny. Aby pokonać śmierć, *homo sapiens* zamyka oczy. Nie waży się rozwiązać problemu, woli go zamieść pod dywan. Śmierć dotyczy jedynie śmiertelników, a wyznawca wierzy przecież naiwnie i uporczywie właśnie w swoją nieśmiertelność. Doszły go wprawdzie słuchy o planetarnej hekatombie, ale jego to przecież nie dotyczy...

Metafizyczni rozbójnicy

Nie mam pretensji do osób, które chwytają się wiary jak ostatniej deski ratunku. Tych natomiast, którzy rozprowadzają metafizyczne produkty — wykazując się przy okazji troską o własny interes — traktuję jak nieprzyjaciół usytuowanych po drugiej stronie egzystencjalnej barykady. Handel zaświatami daje poczucie bezpieczeństwa, ale zwiększa potrzebę pomocy. Podobnie jak niektórzy psychoanalizyści leczą pacjentów, aby nie myśleć o wrażliwości własnej psychiki, wikariusz monoteistycznego Boga narzuca innym swoją wizję świata, aby tym skuteczniej dzień po dniu nawracać samego siebie. Metoda Couégo [1]...

Zwiększać nędzę duchową innych, aby ukryć własną, oszczędzać sobie widoku własnych niedociągnięć, teatralizując niedoskonałość świata - Bossuet, emblematyczny kaznodzieja! — oto wybiegi, które należy poddać krytyce. Wierzący... No dobrze, Bóg z nim, zostawmy go w spokoju... Jakże jednak przejść obojętnie obok tych, którzy podają się za naszych pasterzy! Póki religia pozostaje sprawą prywatną, nic mi do niej, uważam ją za zwykły zlepek nerwic, psychoz i innych osobistych przypadłości. Przecież każdemu wolno hołdować własnym perwersjom, jeśli nie szkodzi w ten sposób innym.

Mój ateizm budzi się z letargu wówczas, gdy prywatna wiara staje się sprawą publiczną; kiedy ktoś próbuje zorganizować życie innym na podstawie własnych psychopatologii. Między osobistą trwogą egzystencjalną a władzą nad ciałem i duszą innych ludzi rozciąga się obszar, gdzie czają się metafizyczni rozbójnicy, czerpiący profity z duchowej i intelektualnej nędzy swych bliźnich. Targani popędem śmierci usiłują go skierować na cały świat; nie ratuje to ich przed zamętem, nie prowadzi do wydobycia się z nędzy, tylko do skażenia nią całego świata. Pragnąc uniknąć negatywności, rozsiewają ją wszędzie wokół i wywołują mentalną epidemię.

Mojżesz, Paweł z Tarsu, Konstantyn, Mahomet w imię swoich przydatnych fikcji — Jahwe, Boga, Jezusa, Allaha — starają się pokierować mrocznymi siłami, które ogarniają ich, opanowują, dręczą. Rzutują własną czerń na świat, przez co zaciemniają go jeszcze bardziej, nie pozbywając się żadnej troski. Z patologicznej mocy popędu śmierci nie można się wyrwać przez chaotyczne rozrzucanie metafizycznego nawozu, lecz jedynie dzięki filozoficznej pracy nad sobą. Dobrze przeprowadzona introspekcja rozwiewa omamy i rojenia, którymi żywią się bogowie. Ateizm nie jest terapią, lecz odzyskanym zdrowiem psychicznym.

Więcej światła

Praca nad sobą odsyła do filozofii. Nie do wiary, fideizmu i bajek, lecz do rozumu i refleksji poddanej ścisłym rygorom logiki. Bronią pozwalającą zwalczać obskurantyzm, ów humus wszystkich religii, jest zachodnia tradycja racjonalistyczna. Właściwy użytek z władz poznawczych, kierowanie się rozumem, postawa krytyczna, wysiłek intelektualny, uświadomienie sobie, że lepiej myśli się stojąc, niż klęcząc — oto najlepszy sposób przegrania fantomów. Dlatego tak istotny jest powrót do Oświecenia, któremu wiek XVIII zawdzięcza swój przydomek.

Wiele można powiedzieć o historiografii tej epoki. Historycy dziewiętnastowieczni, opętani widmem rewolucji francuskiej, kładli retrospektywnie nacisk na to, co ich zdaniem w największej mierze przyczyniło się do jej wybuchu. Ironiczne Wolterowskie demystyfikacje, Monteskiusz i jego trójpodział władzy, *Umowa społeczna* Rousseau, Kantowski kult rozumu, d'Alembert i *Encyklopedia*... W gruncie rzeczy na pierwszy plan wysuwano te komponenty Wieku Świata, które nie były nazbyt jaskrawe — Oświecenie szacowne i politycznie poprawne.

Ja opowiadam się za Oświeceniem żywszym, jaśniejszym i śmielszym. Całą tę śmietankę filozoficzną, mimo pozornych różnic, łączył bowiem deizm. Wszyscy ci luminarze myśli zaciekle zwalczali ateizm i gardzili materializmem oraz sensualizmem, a więc stanowiskami

filozoficznymi wyznaczającymi lewe skrzydło Oświecenia, radykalny biegun Wieku Świąteł, dziś już zapomniany, ale ze wszech miar zasługujący na przypomnienie.

Kant celował w powściągliwej śmiałości, był rewolucjonistą w granicach prawa. *Krytyka czystego rozumu* na swych sześciuset stronach zawiera dość materiału wybuchowego, aby wysadzić w powietrze zachodnią metafizykę. Filozof wzdragał się jednak przed podpaleniem lontu. Podział na wiarę i rozum, noumeny i fenomeny, wytyczenie konturów dwóch niezależnych światów było, nie przeczę, znaczącym postępowaniem. Należało jeszcze postawić kropkę nad "i": jeden z tych światów - rozum — winien był ogłosić swoją supremację nad drugim — wiarą. Kantowska analiza oszczędziła jednak wiarę. Rozum, uznając te dwa światy za rozdzielone, wyzbył się części swoich praw, a wiara i religia ocalały. Kant mógł więc postulować (tyle stron i tak marny rezultat: być nadal zmuszonym do postulowania jak byle suplikant!) Boga, nieśmiertelność duszy i wolną wolę — trzy filary każdej religii.

(...)

ODYSEJA WOLNEJ MYŚLI

Bóg jeszcze dycha

Bóg umarł. Czyżby? Na niebie nie ukazały się znaki potwierdzające tak pomyślną wieść. Śmierć Boga winna otworzyć przed ludźmi nowe, obiecujące perspektywy, tymczasem w naszej epoce panuje kult nicości, chorobliwe delektowanie się mrokiem końca cywilizacji, fascynacja otchłanią i bezdenną przepaścią, w której współczesny nihilista zatracza własne ciało, duszę, tożsamość, zainteresowanie sprawami tego świata. Posępny obraz, deprymująca apokalipsa...

Śmierć Boga to ontologiczny gadżet, reklamarski chwyt właściwy XX stuleciu, które dostrzegало śmierć dosłownie wszędzie: śmierć sztuki, śmierć filozofii, śmierć metafizyki, śmierć powieści, śmierć systemów tonalnych, śmierć polityki. Najwyższa pora obwieścić śmierć tych fikcyjnych zgonów! Zwiastunowie fałszywej nowiny pragnęli zabłysnąć zgrabnym paradoksem; zresztą większość z nich, nasyciwszy się chwilową sławą, czym prędzej wracała do metafizycznego szeregu. Śmierć filozofii uzasadniała pisanie grubych filozoficznych tomiszczy, śmierć powieści płodziła liczne powieści, śmierć sztuki tworzyła niezliczone dzieła sztuki... A śmierć Boga obrosła gigantycznym przemysłem produkującym *sacrum*, boskość, religie. Tkwimy po uszy w tej święconej wodzie.

Wiadomość o śmierci Boga okazała się tromtadracka i fałszywa. Werble, trąby, szumne zapowiedzi, wszystko to było przedwczesne. Zresztą nasza epoka wprost dusi się od nieprawdziwych informacji przyjmowanych na wiarę i autorytarnych wypowiedzi współczesnych augurów, a obfitość w tej materii nie jest, delikatnie mówiąc, synonimem jakości czy prawdy. Dziś nawet najbzdurniejszą plotkę traktuje się jak prawdę objawioną, pod tym względem bodaj czy nie górujemy nad naszymi przodkami. Aby uznać śmierć Boga za fakt potwierdzony, należałoby mieć ku temu podstawy, znaleźć dowody rzeczowe lub chociaż poszlaki. Nic z tego.

Czy ktoś widział trupa? Nietzsche tak twierdził, zgoda, ale czy można go uznać za wiarygodnego świadka? Podobnie jak u Ioneski obecność *corpus delicti* byłaby odczuwalna, namacalna, zwłoki zaczęłyby cuchnąć, przestrzeń wypełniłaby się fetorem, truchło gniłoby powoli, dzień po dniu, byłibyśmy świadkami prawdziwego rozkładu — również w filozoficznym znaczeniu tego słowa. Tymczasem Bóg, niewidoczny za życia, pozostał też niewidzialny po śmierci. Jak zatem przekonać się, czy rzeczywiście zginął? Domagamy się dowodów. Któż jednak mógłby je przedłożyć? Jaki szalenięć podjąłby się tej niemożliwej misji?

Wbrew temu, co twierdzili Nietzsche i Heine, Bóg nie umarł; nie jest nawet umierający. Nie umarł i nie umiera, ponieważ nie jest śmiertelny. Fikcja nie umiera, złudzenie nie może szczeznąć, bajki dla dzieci nie sposób ukatrupić. Ani hipogryf, ani centaur, ani żadne inne zwierzę z mitologicznego bestiariusz nie podlega prawom, które rządzą ssakami — wielorybem, dromaderem czy tchórzofretką. Otóż Bóg należy właśnie do mitologicznego bestiariusz, podobnie jak tysiące innych stworzeń wymienionych w opasłych słownikach religioznawczych pomiędzy bodhisattwą a Bragim. Westchnienie uciśnionego stworzenia nie ustanie, póki istnieć będą uciśnione stworzenia; nie ustanie więc nigdy...

Zresztą gdzie miałyby nastąpić ów zgon? W *Wiedzy radosnej*? Czyżby Boga zamordował w Sils-Maria natchniony, tragiczny, wzniosły filozof, krążący jak widmo — lub błędny ogień - nad

ostatnim ćwierćwieczem XIX stulecia? Jaką bronią się posłużył? Książką, książkami, dziełem? Bluźnierstwem, analizami, argumentacją, polemiką? Zadał cios młotem filozofii? Sztych białą bronią literatów? Czy działał w pojedynkę? Z zasadzki? Czy miał współników? Czyżby w zbrodni maczali palce jego dziadkowie — ksiądz Meslier i markiz de Sade? Gdyby istniał zabójca Boga, czyż nie byłby kimś w rodzaju nadboga? A może ta urojona zbrodnia kryje w sobie pragnienie edypalne, próżne, choć nieprzeparate dążenie do celu obdarzenia człowieka wolnością i tożsamością oraz nadania jego życiu sensu?

Nie można zabić tchnienia, wiatru, zapachu, nie sposób zgładzić marzenia, aspiracji, rojeń. Boga stworzyli śmiertelnicy na swój hipostazowany obraz. Chcieli w ten sposób walczyć ze świadomością, że na końcu drogi nieodwołanie czeka nas śmierć, niebyt, nicność; słowem — pragnęli uczynić znośnym własne życie. Dopóki ludzie będą skazani na śmierć, wielu z nich będzie usiłowało stłumić tę przerażającą myśl, stosując rozmaite wybiegi. Wybiegu nie da się zamordować. W tym wypadku to raczej wybieg nas zabija, Bóg unicestwia bowiem wszystko, co stawia mu opór. Najsampierw rozum, intelekt, zmysł krytyczny. Reszta ulega destrukcji na mocy reakcji łańcuchowej.

Ostatni bóg umrze wraz z ostatnim człowiekiem. Znikną wówczas strach, obawa, lęk — maszyny do produkcji bożyszczy. Trwoga przed nicością, niezdolność pojmowania śmierci jako naturalnego, nieuchronnego procesu, z którym rozum, i tylko rozum, może się układać, a także brak sensu, jeśli pominąć sens nadawany przez nas samych, aprioryczny absurd — oto genealogiczne rozgałęzienia boskości. Bóg umrze dopiero wtedy, gdy zdołamy oswoić nicność. Od takiego postępu ontologicznego dzielą nas jednak lata świetlne...

Imię niepokornych

Bóg będzie trwać, dopóki nie znikną przyczyny, które powołały go do życia; równie długo trwać będą ci, którzy negują jego istnienie... Genealogia w tej dziedzinie to czysta fikcja: nie znamy daty narodzin Boga, nie potrafimy też określić genezy praktycznego ateizmu (co innego dyskurs). Można jedynie snuć domysły: pierwszy człowiek — kolejna fikcja — który oddawał cześć Bogu, musiał jednocześnie albo naprzemiennie wątpić. Niewiara współistnieje z wiarą. Jednostka doznająca religijnych uniesień to również jednostka targana wątpliwościami, potrafiąca zdobyć się na sprzeciw. Afirmacja i negacja, wiedza i ignorancja, padanie na kolana i bunt, czas tworzenia bóstw i czas obalania bożyszczy...

Bóg wydaje się zatem nieśmiertelny. Jego kapłani mają w tym względzie rację, choć niewłaściwie ją uzasadniają. Nerwica skłaniająca ludzi do tworzenia bogów nie ma w sobie nic nadprzyrodzonego, to rezultat najzwyklejszych procesów psychicznych. Bogów powołuje do życia lęk przed śmiercią, widok trupów, trwoga targająca dobiegającym kresu żywotem. Bóg rodzi się z *rigor mortis*, z zeszywnienia i bezruchu zmarłych członków plemienia. Kiedy rozpoczyna się widowisko śmierci, gdy martwe ciała zostają wystawione na pokaz, wówczas gęstnieją rojenia i opary, pokarm bogów. Nie możemy znieść widoku zwłok ukochanej osoby, usiłujemy zaprzeczyć temu, co widzimy, staramy się przekształcić kres w początek, zwieńczenie w narodziny nowej przygody. Bóg, niebo i duchy zagrzewają nas, byśmy zapomnieli się w tańcu, zapomnieli o bólu, cierpieniu, najgwałtowniejszej przemocy.

A co z ateistą? Niewiara w Boga i zaświaty zapewne nawiedzała umysł pierwszego człowieka, który uwierzył w Boga. Rebelia, bunt, zaprzeczanie temu, co uchodzi za oczywiste, niezgoda na wyroki losu — rodowód ateizmu musi do złudzenia przypominać genezę wiary. W tym samym okresie metafizycznych połogów pojawia się Szatan, Lucyfer, ten, który mówi „nie”, odrzuca boskie prawo i niesie światło — emblematyczny filozof Oświecenia... Bóg i Diabeł to dwie strony tego samego medalu, podobnie jak teizm i ateizm.

Jeśli ateizm to stanowisko zaprzeczające istnieniu Boga lub uznające go za fikcję, którą człowiek tworzy, aby żyć mimo nieuchronności śmierci, to ateizm pojawił się w kulturze Zachodu stosunkowo późno. Wprawdzie ateusze występują już w Biblii — w Księdze Psalmów (10,4 i 14,1) oraz w Księdze Jeremiasza (5,12) — ale w Starożytności mianem tym określano nie tego, kto odrzuca wiarę w bogów, lecz tego, kto nie wierzy w bogów panujących w danym momencie, w ich społecznie obowiązujące wykładnie. Przez długi czas ateuszami nazywano ludzi, którzy wierzyli w bogów obcych, zagranicznych, heterodoksyjnych. Nie ludzi, którzy opróżniali niebo, lecz tych, którzy zaludniali je płodami własnej fantazji...

Polityczna funkcja ateizmu polegała więc na wyodrębnianiu i piętnowaniu jednostek wierzących w boga innego niż ten, na którego powoływali się rządzący dla utrwalenia swojej władzy. Bóg niewidzialny i niedostępny nie mógł bowiem sprostować słów, które wkładali mu w

usta domniemani rzecznicy i pomazańcy wypowiadający się, wydający dekrety i działający w jego imieniu na dobre i na złe. Milczenie Boga było usprawiedliwieniem gadulstwa jego ministrów bez przerwy powołujących się na swoje bożyszcze: kto nie wierzy w ich Boga, ten nie wierzy w nich samych, jest więc, siłą rzeczy, ateuszem, najpodlejszym z ludzi, wyzutym z czci i wiary gorszycelem, ucieleśnieniem zła. Należy go bezzwłocznie uwięzić, torturować, zgładzić.

W takich warunkach trudno określać się mianem ateisty... Jest to epitet, którym obdarza — a raczej znieważa — władza, aby kogoś oskarżyć i skazać. Świadczy o tym sama budowa słowa: a-teista. Przedrostek negujący, słowo sugerujące brak, lukę, opozycję. Nie dysponujemy pojęciem w sposób pozytywny opisującym tych, którzy nie hołdują chimerom. Musimy się zadowolić konstrukcjami przywodzącymi na myśl amputację: a-teista, niewierzący, a-gnostyk, bez-wyznaniowy, a-religijny, niedo-wiarek, bez-bożny, oraz słowami pochodnymi — niewiara, bezbożność, ateizm... Nie znajdziemy pojęcia oddającego solarną, afirmatywną, pozytywną i wolną postawę jednostki, która nie korzy się przed urojeniami magicznego myślenia.

Ateizm jest więc językowym tworem bogobojnych. Słowo to nie zostało swobodnie i świadomie wybrane przez kogoś, kto postanowił nim określić własny światopogląd. Mianem ateusza obdarza się ludzi odrzucających lokalnego boga, w którego wszyscy, a w każdym razie niemal wszyscy wierzą, w którego dbałość o własny, dobrze pojęty interes wierzyć nakazuje ... Teologiczne rozważania w zaciszu gabinetów zawsze bowiem opierają się na zbrojnych milicjach, egzystencjalnej policji i ontologicznej armii oszczędzających ludziom trudu samodzielnego myślenia, zagrzewających do wiary, przymuszających do konwersji.

Baal i Jahwe, Zeus i Allah, Ra, Wotan i Manitu zawdzięczają swoje przydomki geografii i historii. Ulepieni są wszakże z jednej gliny metafizycznej, określają tę samą fantazmatyczną istotę. Żaden nie jest prawdziwszy od pozostałych, wszyscy należą do panteonu imaginacyjnych tworców, do wesołej drużyny fikcji, w której Ulises przepija do Zaratustry, Dionizos kłania się w pas Don Kichotowi, a Tristan i Lancelot z Jeziora są za pan brat z Bładym Lisem Dogonów i Papą Legbą wyznawców wudu.

Skutki antyfilozofii

Z braku lepszej nazwy na określenie niebezpiecznych szaleńców, którzy mają czelność nie wierzyć w Boga, przystaniemy na ateuszy... Choć istnieją liczne synonimy lub peryfrazy, wszystkie zostały wprowadzone na rynek intelektualny przez czcicieli Chrystusa i mają charakter deprecjonujący. Na przykład Blaise Pascal chłostał bezlitośnie niepokornych (na małych karteluszkiach, które zaszył przed śmiercią w podszewce płaszcza). Wymieńmy także libertynów, wolnomyślicieli czy zwolenników *libre examen* [swobodnego osądu], jak określa się obecnie naszych belgijskich przyjaciół.

Antyfilozofia — mroczny rewers Oświecenia, osiemnastowieczny nurt „intelektualny”, dziś właściwie zapomniany, doskonały przykład tego, że chrześcijańska wspólnota nie cofa się dosłownie przed niczym, aby dyskredytować poglądy jednostek niepodzielających jej rojeń — brutalnie zwalcza wolną myśl i refleksję oswojoną z chrześcijańskich dogmatów.

Wspomnijmy chociażby księdza Garasse'a, jezuitę bez czci i wiary, któremu dwudziestowieczni propagandyści mogliby czyścić trzewiki. W ponad tysięcznym dziele *La Doctrine curieuse des Beaux esprits de ce temps, ou prétendus tels* [Osobliwa doktryna tak zwanych Pięknoduchów] (1623), obrzuca on oszczerstwami wolnomyślnych filozofów, opisując ich jako rozpustników, sodomitów, opojów, żarłoków i pedofilów (biedny Pierre Charon, przyjaciel Montaigne'a), oskarżając o wszystkie diabelskie występki, aby odwieść czytelników od studiowania pism tych nikczemnych łajdaków. Rok później ten jezuitski minister propagandy popełnił *Apologie pour son livre contre les athéistes et Libertins de notre siècle* [Obrona mojej książki wymierzonej we współczesnych ateistów i libertynów]; do wcześniejszych oszczerstw Garasse dorzucił kolejne kłamstwa, kalumnie, podłości i ataki *ad hominem*. Zaiste, miłość bliźniego nie ma granic.

Wspomniana metoda zawsze sprawdzała się doskonale — od Epikura, ściganego jeszcze za życia oszczerstwami bigotów, aż po szykanowanie niezależnych filozofów, którzy, jeśli nawet nie byli ateistami, ośmielali się utrzymywać, że Biblia nie daje odpowiedzi na wszystkie pytania. Nic więc dziwnego, że stosowana jest po dziś dzień. Filozofowie, których Garasse zmieszał z błotem, nie uzyskali pośmiertnej rehabilitacji, wielu myślicieli wciąż uchodzi za

niemoralnych szubrawców, a ich dzieła butwieją w zapomnieniu. Ateizmowi udało się przypisać gębę na wieki wieków. W filozoficznych dysputach określenie libertyn nadal pełni funkcję deprecjonującą — w ten sposób dyskwalifikuje się myśl niezależną, wolną, pogodną i nieskrępowaną dogmatami wiary.

Ponieważ w oficjalnej historii filozofii nadal pokutuje duch antyfilozofii, olbrzymie obszary myśli żywej, wyrazistej, śmiałej, lecz antychrześcijańskiej, a w każdym razie wyzbytej czołobitności i niezależnej od panującej religii, pozostają nieznane nawet zawodowym filozofom z wyjątkiem garstki specjalistów. Ograniczmy się do epoki Ludwika XIV: kto czyta dziś Gassendiego? Albo La Mothe'a le Vayera? Albo Cyrana de Bergeraca (filozofa, nie komedię Rostanda)? A przecież bez tych bojowników o niezależność filozofii od teologii i religii judeochrześcijańskiej nie byłoby Pascala, Kartezjusza, Malebranche'a i wielu innych herosów oficjalnej filozofii...

Teologia i jej fetysze

Brakuje pozytywnych określeń postawy ateistycznej, a zastępcze przydawki mają lekceważące lub obelżywe konotacje. W słownictwie opisującym wiernych panuje za to niebywały urodzaj. Każda postać wiary, choćby chodziło o najsubtelniejszą odmianę, dysponuje odrębnym pojęciem: teista, deista, panteista, monoteista, politeista, a także animista, totemista, fetyszysta... Do czego dodać należy historyczne krystalizacje powyższych: katolicy i protestanci, ewangelicy i luteranie, kalwiniści i buddyści, sintoiści i muzułmanie, szyici i sunnici, żydzi i świadkowie Jehowy, ortodoksi i anglikanie, metodyści i prezbiterianie... Katalog bez końca.

Jedni oddają cześć kamieniom — od plemion pierwotnych aż po współczesnych muzułmanów, którzy wielbią betyl Al-Kaby — inni modlą się do księżyca lub słońca. Jedni wysławiają niewidzialnego Boga i odrzucają wszelkie wizerunki najwyższej istoty jako bałwochwalstwo, inni adorują Boga antropomorficznego — białego, aryjskiego samca, rzecz jasna... Panteista dostrzega Boga wszędzie, adept teologii negatywnej — nigdzie. Jedni postrzegają go w konwencji filmów grozy, pod postacią ukrzyżowanego mężczyzny w koronie cierniowej, inni jako źdźbło trawy na wschodnią modłę sinto. Każdy płód ludzkiego umysłu, choćby najbardziej dziwny, może wzbogacić panteon bóstw.

Religijne ekstrawagancje nie znają granic. Taniec uryny Indian Zuni z Nowego Meksyku. Amulety z ekskrementów tybetańskiego wielkiego lamy. Hinduistyczny zwyczaj oczyszczających ablucji w krowich odchodach i urynie. Rzymski kult takich bóstw, jak Stercutius i Crepitus [2] czy bogini Cloacina (patronów, kolejno, ustępów, bzdzin i kanalizacji). Ofiary z nawozu składane asyryjskiej Wenus — Isztar. Xochiquetzal, meksykańska Bogini miłości i zabawy zjadająca własne odchody. Boskie zalecenie z Księgi Ezechiela, aby do gotowania potraw wykorzystywać ludzkie ekskrementy. Gdy chodzi o utrzymywanie kontaktu z Bogami oraz sferą *sacrum*, każda metoda jest, jak widać, stosowna.

Istnieją niezliczone imiona, obrządków, sposoby pojmowania Boga i oddawania mu czci, miriady odmian religijności, całe słowniki leksemów określających wiarę i bogobojność, tymczasem ateista musi się zadowolić jednym nędznym mianem ukutym po to tylko, aby go zdyskredytować i napiętnować. Wierni oddający hołd wszystkiemu lub byle czemu, usprawiedliwiający w imię swoich fetyszy najskrajniejszą nietolerancję, toczący od zarania dziejów bezlitosną wojnę przeciw bezbożnikom mają więc czelność uznawać niedowiarków za istoty niepełne, okaleczone, szczątkowe, którym do prawdziwego istnienia brakuje Boga...

Bogobojni dysponują nawet szczególną dyscypliną zajmującą się zgłębianiem imion Boga, jego czynów, gestów, myśli, bon motów, wiekopomnych wypowiedzi, praw, nakazów i innych dyrdymał; jest to dyscyplina prężna i dająca zatrudnienie całej rzeszy obrońców, rzeczników, klerków, zauszników, pochlebców, dialektyków, retorów, filozofów (niestety!), skrytobójców, ludzi od mokrej roboty, pacholców, namiestników Boga na ziemi, ambasadorów i konsulów, dziekanów i rektorów. Teologia: „nauka” badająca dyskurs o Bogu...

Nielicznym okresem w historii Europy, kiedy chrześcijaństwo było poważnie zagrożone — jak choćby w 1793 roku — towarzyszyły nowe praktyki filozoficzne, a więc nowe słowa i pojęcia, które szybko popadły jednak w zapomnienie. Historycy wspominają niekiedy o dechryścianizacji, aby opisać fazę rewolucji francuskiej, w której obywatele urządzali w kościołach szpitale, szkoły lub świetlice dla młodzieży, wywieszali na ich frontonach trójkolorowe sztandary, a krzyże z martwego drewna zastępowali jakże żywymi drzewami. Po *athéiste* z *Esejów* Montaigne'a, *attaystes* z *Listów* (CXXXVII) Monluca i *athéistique* Woltera

słuch szybko zaginął. Po ateistach rewolucji francuskiej również...

Imiona infamii

Ubóstwo ateistycznego słownictwa to następstwo wielowiekowej dominacji partii Boga: od piętnastu stuleci jej działacze dzierżą władzę polityczną, a ponieważ tolerancja nie należy do ich cnót kardynalnych, dokładają wszelkich starań, aby nie dopuścić do głosu niewiary w Boga, między innymi kontrolując oznaczające ją słowo. Ateizm pojawia się po raz pierwszy w 1532 roku, ateista istniał już w II wieku naszej ery: tych, którzy nie podzielali wiary w ich Boga zamartwychwstałego trzeciego dnia, chrześcijanie piętnowali mianem *atheos*. Szybko uznano, że osoby lekceważące chrześcijańskie bajki nie wierzą w żadnych bogów. Dlatego też poganie — oddający część bogom wiejskim, na co wskazuje zresztą etymologia tego słowa — zaczęli uchodzić za bezbożników i wrogów Boga Jedynego. Za ateistę jezuita Garasse uważał nawet Lutra, a Ronsard ateistami nazywał hugenotów!

To określenie ma charakter wyzwiska, obelgi, śmiertelnej obrazy; ateusz to człowiek niemoralny, odrażający typ, zbrodnią jest nawet zwykła chęć dowiedzenia się czegoś o życiu indywiduum opatrzonego takim epitetem, o lekturze jego książek nie wspominając. Miano to stanowi napęd maszyny wojennej, miażdżącej wszystko, co odbiega od oficjalnej linii rzymskiego Kościoła katolickiego. Ateista, heretyk — na jedno wychodzi. Pojemna formułka.

Epikur już na początku swojej działalności musiał stawić czoło oskarżeniom o ateizm. A przecież ani on, ani jego uczniowie nie zaprzeczali istnieniu bogów: stworzonych z materii subtelnej, przebywających w międzyświatach, niewzruszonych, nietroszczących się o ludzkie losy, ucieleśniających ideał ataraksji, idee filozoficznego rozumu, wzorce, które warto naśladować, aby osiągnąć mądrość. Epikur miał swoich bogów, i to w pokażnej liczbie. Różnili się oni jednak od innych bóstw greckiej *polis*, przemawiających ustami kapłanów, aby skłonić obywateli do podporządkowania się wymogom wspólnoty. Oto główna przewina epikurejskich bożyszcz: antyspołeczny charakter.

Historiografia ateizmu — skąpa, uboga i przeważnie licha — popełnia zatem błąd, datując jego narodziny na pierwszy okres w rozwoju ludzkości. Społeczne krystalizacje potrzebowały transcendencji, porządku, hierarchii (znaczenie etymologiczne: władza świętości). Wspólnota polityczna funkcjonuje sprawniej, jeśli czuwa nad nią panteon mściwych bóstw reprezentowany, szczęśliwym trafem, przez tych, którzy dzierżą ster władzy.

Bóg lub bogowie, których zadanie polega na legitymizowaniu władzy, stają się uprzywilejowanymi partnerami wodzów plemiennych, królów i książąt. Ziemscy władarze twierdzą, że zawdzięczają swoją potęgę bogom, na dowód czego powołują się na pozaświatowe znaki, odszyfrowywane przez kastę kapłanów, która skądinąd ma udział w zyskach z monopolu na legalne użycie siły. Ateizm staje się więc nader użyteczną bronią, pozwalającą wtrącać do więzień i lochów tych, którzy ośmielają się sprzeciwiać władzy. A niepoprawnych oponentów posyłać na stos.

Ateizm jest o wiele późniejszy od myślicieli, których oficjalna historiografia potępia lub po prostu określa tym mianem. Sokrates nie powinien figurować w historii ateizmu. To samo dotyczy Epikura i epikurejczyków, a także Protagorasa, który w dziele *O bogach* stwierdził, że nie może wiedzieć ani czy istnieją, ani czy nie istnieją. Była to deklaracja agnostycyzmu czy nawet sceptycyzmu, z pewnością jednak nie ateizmu, który zakłada jasne przekonanie o nieistnieniu bogów.

Bóg filozofów był często skłócony z Bogiem Abrahama, Jezusa i Mahometa. Wywodził się bowiem z rozumu i dedukcji, podczas gdy tamci powstał z innego surowca: z dogmatu, objawienia, posłuszeństwa. Władza duchowa paktowała ze świecką, Bóg Abrahama przypomina zatem Boga Konstantyna, papieży, książąt i ma doprawdy niewiele wspólnego z ekscentrycznymi konstrukcjami zmaistrowanymi z praprzyczyn pozbawionych przyczyn, pierwszych nieruchomych poruszcycieli, idei wrodzonych, przedustawnych harmonii i innych dowodów kosmologicznych, ontologicznych czy fizyko-teologicznych.

Filozoficzne próby ujęcia Boga niezależnie od panującego w danej chwili modelu, określano często mianem ateizmu. Kościół, skazując księdza Giulia Cesarego Vaniniego na ucięcie języka, uduszenie i spalenie na stosie (wyrok wykonano w Tuluzie 9 lutego 1619 roku), zamordował autora książki zatytułowanej *Amfiteatr wiecznej Opatrzności boskiej i magicznej, chrześcijańskiej i fizycznej, jak również astrologicznej i katolickiej; przeciw filozofom, ateistom, epikurejczykom, perypatetykom i stoikom* (1615).

Jeśli potraktujemy ten tytuł serio — a już sama jego długość budzi szacunek! — dostrzeżemy, iż lubujący się w oksymoronach Vanini nie odrzuca opatrności, chrześcijaństwa czy katolicyzmu, za to stanowczo odcina się od ateizmu, epikureizmu i innych pogańskich szkół filozoficznych. Nie był więc ateistą, za co skazano go na śmierć; można mu co najwyżej przypisać eklektyczny panteizm... rzecz jasna heretycki, gdyż heterodoksyjny.

Spinoza również opowiadał się za panteizmem — z niezrównaną inteligencją — i on także został skazany za ateizm, który w tym wypadku oznaczał niezgodność z żydowską ortodoksją. *Parnassim* zasiadający w *mahamadzie* (władze amsterdamskiej gminy żydowskiej) 27 lipca 1656 roku odczytali po hebrajsku, przed arką synagogi przy Houtgracht, niezwykle napastliwy akt oskarżenia. Zrzucili Spinozie ohydne herezje, potworne uczynki i niebezpieczne poglądy, następnie zaś obłożyli go klątwą (*cherem*), której nigdy nie cofnięto!

Parnassim nie przebierali w słowach: wyklęty, odłączony od Narodu Izraela, wypędzony, przeklęty w dzień i w nocy, przeklęty, gdy się kładzie i gdy wstaje, gdy wchodzi do domu i wychodzi z niego... Rzecznicy Boga żądają od swojej fikcji gniewu i kary, apelują, by zawsze i wszędzie ścigała filozofa wszystkimi przekleństwami zapisanymi w Księdze Powtórzonego Prawa. Pragną wreszcie, by imię Spinozy znikło po wsze czasy z powierzchni ziemi. Nic z tego...

Rabini, teoretyczni szermierze miłości bliźniego, dodali do tej ekskomunikacji powszechny zakaz prowadzenia z filozofem jakichkolwiek dyskusji w słowie lub piśmie. Nikt nie ma prawa wyświadczać mu przysług, zbliżać się do niego na odległość czterech łokci, przebywać z nim pod jednym dachem. Zakaz obejmuje także lekturę jego pism. W tym wypadku rabini wykazali się dalekowzrocznością: dwudziestotrzyletni Spinoza niczego jeszcze nie napisał. Pośmiertnie wydana *Etyka* ukaże się dopiero dwadzieścia jeden lat później, w roku 1677. Dziś Spinoza ma czytelników na całym świecie.

Gdzie u Spinozy można znaleźć ateistyczne credo? Nigdzie. Na próżno wertowalibyśmy jego dzieła — nie odkryjemy w nich choćby linijki przeczącej istnieniu Boga. Owszem, Spinoza negował nieśmiertelność duszy i odrzucał hipotezę kary lub nagrody *post mortem*; utrzymywał, że Biblia ma kilku autorów i nie jest tekstem objawionym; w *Traktacie teologiczno-politycznym* polemizował z pojęciem narodu wybranego; opowiadał się za hedonistyczną etyką szczęścia poza dobrem i złem; nie podzielał judeochrześcijańskiej nienawiści do człowieka, ciała i świata; chociaż był żydem, cenił Jezusa jako filozofa. Ale przecież te nieortodoksyjne jaskółki nie czynią zeń jeszcze ateisty.

Trudno zliczyć skazanych na śmierć za ateizm nieszczęśników, którzy byli wierzący, praktykujący, szczerze przeświadczeni o istnieniu Boga Jedyne; wśród nich istna rzesza katolików, nierzadko księży. Czyciele Boga Abrahama lub Allaha nie ustępują im w tej ponurej statystyce, wielu z nich wyznawało bowiem wiarę niezgodną z panującymi normami i regułami. Nie musieli nawet otwarcie buntować się przeciw monoteistycznie uświęconej władzy, wystarczyło jakieś drobne odstępstwo czy wręcz brak gorliwości... Pojęcie „ateista”, nim zaczęło określać jednostki rzeczywiście niewierzące w Boga, służyło piętnowaniu i prześladowaniu myśli niepokornej, minimalnie choćby odstającej od refleksji dogmatycznej, społecznie dozwolonej. Ateista? Człowiek niezależny od Boga — niezależny w tak wielkim stopniu, że niebawem zacznie negować jego istnienie.

(...)

ATEIZM, CZYLI ROZBRAT Z NIHILIZMEM

Organizacja niepamięci

Oficjalna historiografia pomija milczeniem filozofię ateistyczną. Zwykle nie wspomina nawet o księdzu Meslierze, a jeśli nawet zaszczyca go uwagą, rozprawia się z nim w kilku zdaniach, prezentując go jak zabawną ciekawostkę, osobliwy przykład oksymoronu: ksiądz-bezbożnik! Na próżno szukalibyśmy solidnych prac poświęconych najważniejszym przedstawicielom osiemnastowiecznego francuskiego materializmu, takim jak La Mettrie (wściekły piewca przyjemności), Dom Deschamps (wynalazca kolektywistycznego „heglizmu”), Holbach (osobisty wróg pana Boga), Helwecjusz (materialista rozmiłowany w rozkoszach), Sylvain Maréchal (autor *Słownika ateistów*). Nikt poważnie nie zajmuje się badaniem myśli tak zwanych ideologów (Cabanis, Volney, Destutt de Tracy), podczas gdy niemieckiemu idealizmowi poświęcono setki studiów, monografii, programów badawczych.

Przykład: dla świata akademickiego baron Holbach po prostu nie istnieje. Krytyczne

wydanie jego dzieł nie figuruje w katalogu żadnej liczącej się oficyny filozoficznej. Profesorowie nie prowadzą seminariów ani wykładów monograficznych poświęconych temu myślicielowi, nie zachęcają studentów do pisania o nim prac magisterskich czy doktoratów. Książek Holbacha (w odróżnieniu od Rousseau, Woltera, Kanta czy Monteskiusza) nie znajdziemy w wydaniach kieszonkowych, nie wspominając o prestiżowej serii Pléiade. W księgarni nie uświadczymy żadnej jego biografii. Smutne!

Uniwersytet do znużenia wałkuje Russowską umowę społeczną, Wolteriańską tolerancję, Kantowski krytycyzm, trójpodział władz myśliciela z Brède — tematy samograje, święte obrazki filozofii. Nie wspomina natomiast o ateizmie Holbacha, o jego przenikliwym historycznym odczytaniu tekstów biblijnych, o krytyce chrześcijańskiej teokracji i związków państwa z Kościołem, o wezwaniu do rozdziału tych dwóch władz, o rozgraniczeniu sfer etyki i religii, o demystyfikacji katolickich bajek, o religioznawstwie porównawczym, o atakach na Holbacha ze strony Rousseau, Diderota, Woltera i innych przedstawicieli deistycznej, rzekomo oświeconej kliki, o koncepcji etokracji czy propozycji moralności pochrześcijańskiej, o potędze nauki zdolnej rozproszyć religijny obskurantyzm, o fizjologicznej genezie myśli, o konstytutywnej nietolerancji chrześcijańskiego monoteizmu, o konieczności podporządkowania polityki etyce, o wezwaniu do przeznaczenia części dóbr kościelnych na potrzeby ubogich, o feminizmie i krytyce katolickiego mizoginizmu. A przecież wszystkie te poglądy Holbacha są zdumiewająco aktualne...

Historiografia milczy na temat bluźniercy Mesliera (*Testament*, 1729) i demystyfikatora Holbacha (*La contagion sacrée* ukazała się w 1768 roku). Milczy również o dekonstruktorze Feuerbacha (*Istota chrześcijaństwa*, 1841), trzecim herosie zachodniego ateizmu i jednym z głównych filarów ateologii godnej tego miana. Ludwig Feuerbach podjął się wyjaśnienia, czym jest Bóg. Nie negował jego istnienia, lecz przeprowadził sekcję tej chimery. Nie twierdził, że Bóg nie istnieje, stawiał natomiast zasadnicze pytanie: czym jest ów Bóg, w którego tak wielu ludzi wierzy? I odpowiadał: fikcją, wytworem ludzkim, fabrykatem podlegającym określonym prawom, to znaczy projekcji i hipostazie. Ludzie tworzą Boga na swój odwrócony obraz.

Śmiertelnicy — skończeni, ograniczeni, cierpiący z powodu egzystencjalnej ciasnoty, marzący o pełni — wymyślają potęgę obdarzoną cechami dokładnie przeciwnymi: ze swoich przywar obróconych na nice wytwarzają przymioty, a następnie padają przed nimi na kolana. Jestem śmiertelny? Bóg jest nieśmiertelny. Jestem skończony? Bóg jest nieskończony. Jestem ograniczony? Bóg jest nieograniczony. Nie wiem wszystkiego? Bóg jest wszechwiedzący. Nie potrafię czegoś uczynić? Bóg jest wszechmocny. Urodziłem się? Bóg jest odwieczny. Jestem słaby? Bóg ucieleśnia moc nieograniczoną, absolutną, bezwzględną. Żyję na ziemi? Bóg przebywa w niebie. Jestem niedoskonały? Bóg jest doskonałością samą. Jestem niczym? Bóg jest wszystkim...

Religia staje się więc alienacją *par excellence*: dokonuje rozłamu w samym człowieku i powołuje do życia świat fikcyjny, twierdząc, że jest to jedyny prawdziwy świat. Teologia, jak twierdzi Feuerbach, jest „patologią umysłową”. Autor *Istoty chrześcijaństwa* przeciwstawia jej projekt antropologiczny oparty na swoistej „chemii analitycznej”. Z właściwym sobie humorem wzywa do „hydroterapii pneumatycznej” — użycia zimnej wody rozumu naturalnego, aby uśmierzyć chrześcijańską gorączkę i religijne wapory.

Feuerbach, mimo wybitnych dokonań i zasług, pozostaje wielkim nieobecny oficjalnej historii filozofii. Owszem, czasem pojawia się jakaś o nim wzmianka, lecz z tego jedynie względu, że mandaryn Ecole Normale Supérieure Louis Althusser, wówczas u szczytu sławy, uznał Feuerbacha za brakujące (heglowskie) ogniwo w rozwoju filozoficznym młodego Marksa i klucz do odczytania *Rękopisów ekonomiczno-filozoficznych z 1844 roku* oraz *Ideologii niemieckiej*. W 1967 roku Althusser przygotowywał nie tyle Wielką Rewolucję, ile studentów do ustnego egzaminu z filozofii. Francuski profesor starał się więc przyćmić geniusz Feuerbacha własnym akademickim splendorem. Bywa, że zwykle przemilczenie jest korzystniejsze od takich nieporozumień i dezinterpretacji.

Filozoficzne trzęsienie ziemi

Po proboszczu i jego bluźnierstwach, po chemiku (Holbach był wybitnym geologiem i naukowcem) i jego demitologizacjach, po szefie przedsiębiorstwa (Feuerbach nie uprawiał filozofii zawodowo; ogłoszenie *Myśli o śmierci i nieśmiertelności* - w których zaprzeczył

jednostkowej nieśmiertelności - zamknęło przed nim drogę kariery uniwersyteckiej; szczęściem żona wniosła mu w posagu fabrykę porcelany) i jego dekonstrukcjach na scenę wkroczył wreszcie Nietzsche. Tym razem myśl idealistyczna, spirytualistyczna, dualistyczna, judeochrześcijańska, słowem myśl panująca miała realne podstawy do niepokoju. Nietzscheański monizm dionizyjcki, logika sił, genealogiczna metoda, ateistyczna etyka stanowiły prawdziwą alternatywę dla chrześcijaństwa. W krajobrazie myśli zachodniej pojawiła się po raz pierwszy radykalna i całościowa filozofia pochrześcijańska.

W *Ecce homo* Nietzsche pół żartem, pół serio napisał, że swoimi pracami dzieli historię na dwie części: podobnie jak w wypadku Chrystusa istnieje era przed Nietzschem i era po nim. Myślicielowi z Sils-Maria brakowało jedynie Pawła i Konstantyna — historycznego komiwojażera i potężnego cesarza — aby własną konwersję przekształcić w metamorfozę wszechświata. Dynamit Nietzscheańskiej myśli stanowił jednak śmiertelne zagrożenie dla tych nieokrzesanych istot, zwanych wielkimi ludźmi, które tworzą rzeczywistą historię.

W dziedzinie filozofii buńczuczne twierdzenie ojca Zaratustry jest jednak słuszne: po ukazaniu się *Poza dobrem i złem* oraz *Antychrysta* świat intelektualny nie był już taki jak przedtem. Nietzsche dokonał wyłomu w szajcach judeochrześcijańskiego monoteizmu. Sam jeden nie mógł, rzecz jasna, uwieńczyć ateologicznej misji, sprawił natomiast, że stała się ona w ogóle możliwa. Dlatego właśnie warto być nietzscheanistą. Co to znaczy? Bycie nietzscheanistą nie polega na przejmowaniu, jak to czynią głupcy, wszystkich twierdzeń, poglądów i koncepcji filozofa spod znaku węża: resentymetu, wiecznego powrotu, nadczłowieka, woli mocy, fizjologii sztuki... Nie trzeba utożsamiać się z Nietzschem, akceptować jego myśli z całym dobrodziejstwem inwentarza. Nie miałoby to zresztą sensu. Jedynie osoby o nader ograniczonych horyzontach pojmują w ten sposób nietzscheanizm.

Być nietzscheanistą nie oznacza myśleć tak samo jak Nietzsche, ale myśleć wraz z nim, zakorzenić własną refleksję w krajobrazie intelektualnym radykalnie przeobrażonym dzięki filozofii Nietzschego. Nietzsche pragnął mieć uczniów niewiernych, innymi słowy, aby dochować mu wierności, trzeba go zdradzić, nabrać dystansu, myśleć samodzielnie. Słuchać Nietzschego to podążać jedynie za własnym głosem, nie podporządkowując się nikomu poza sobą, nawet Nietzschemu. Wielbłąd, lew i dziecko z *Tako rzecze Zaratustra* uczą nas dialektyki i poetyki, które winniśmy urzeczywistnić w życiu, to znaczy zachować, przewyciężając. Należy pamiętać o jego dziele, zgoda, ale przede wszystkim trzeba je potraktować jako punkt oparcia, dźwignię pozwalającą przesuwać filozoficzne góry.

Oto nowy plac budowy ateizmu: Meslier zaprzeczył istnieniu bóstw, Holbach zdemistyfikował chrześcijaństwo, Feuerbach zdekonstruował Boga, Nietzsche proklamował przewartościowanie wszystkich wartości. Ateizm nie jest celem samym w sobie. Pozbyć się Boga, doskonale, ale co chcemy dzięki temu osiągnąć? Inna moralność, nowa etyka, oryginalne wartości, które wcześniej nikomu nie przysły do głowy, ponieważ pomyśleć się nie dawały — oto, do czego wiedzie urzeczywistnienie i przewyciężenie ateizmu. Straszliwe zadanie, które nie zostało jeszcze wypełnione.

Antychryst opisuje europejski nihilizm — z którym nam również przyszło się borykać — i proponuje lekarstwa na tę metafizyczną i ontologiczną patologię naszej cywilizacji. Znamy recepty Nietzschego, od ponad stu lat narastają wokół nich nieporozumienia. Być nietzscheanistą dziś to wysuwać inne hipotezy, nowe i ponietzscheańskie, przy równoczesnym uwzględnieniu jego walki. Współczesne postacie nihilizmu domagają się, bardziej niż kiedykolwiek, przemiany wartości, przewyciężenia wysnutych z monoteizmu hipotez i propozycji zarówno laickich, jak i religijnych. Zaratustra musi powrócić: ateizm to jedyny sposób pokonania nihilizmu.

Nauczanie ateizmu

Zdaniem Stanów Zjednoczonych, a więc całego świata zachodniego, 11 września zmusza każdego człowieka do opowiedzenia się po jednej ze stron wojny religijnej między tradycją judeochrześcijańską a islamem. Zamiast dać się zamknąć w tej nieatrakcyjnej alternatywie, można przyjąć stanowisko nietzscheańskie: nie być ani judeochrześcijaninem, ani muzułmaninem, nie angażować się w wojnę religijną, do której zagrzewa wchodząca w skład Tory Księga Liczb, usprawiedliwiająca krwawą rozprawę z wrogami (w passusach pierwotnie nazywanych „Wojenną Księgą Pana”), oraz Koran, wzywający *ad nauseam* do mordowania niewiernych. Nietzsche uczy nas, że możemy pozostać głusi na te zbrodnicze wezwania, choć rozbrzmiewają od dwudziestu pięciu wieków! Nie musimy wybierać między trzema

monoteizmami. To, że ktoś nie popiera polityki USA czy Izraela, nie czyni zeń jeszcze towarzysza drogi talibów.

Talmud i Tora, Biblia i Nowy Testament, Koran i hadisy to dla filozofa niewystarczające powody, aby wybierać między żydowską a chrześcijańską czy muzułmańską mizoginią, opowiadać się przeciw alkoholowi i wieprzowinie, za czadorem i burką, stać się bywalcem synagog, kościołów, meczetów czy innych świątyń, a więc miejsc, w których inteligencja nie czuje się u siebie, gdzie od wieków krzewi się klękanie przed dogmatami i podporządkowanie Prawu, czyli posłuszeństwo wobec rzekomych wysłanników Boga, jego samozwańczych rzeczników i wybrańców.

Coraz częściej słychać głosy, że w szkołach powinno się nauczać religii, aby produkować więzi społeczne, ratować obumierającą wspólnotę przed pustoszącym działaniem liberalizmu, powołać do życia nową umowę społeczną, powrócić do wspólnych korzeni, monoteistycznych rzecz jasna... Moim zdaniem lepiej byłoby uczyć ateizmu — raczej *Genealogii moralności* niż Listów do Koryntian.

Chęć wprowadzenia oknem Biblii i innych monoteistycznych fintifluszek wyrzuconych drzwiami dzięki kilkusetletniemu wysiłkowi filozoficznemu (Oświecenie i rewolucja francuska, socjalizm i Komuna Paryska, lewica i Front Ludowy, duch wolnościowy i maj'68, ale także Freud, Marks, szkoła frankfurcka i szkoła podejrzeń francuskich lewicowych nietzscheanistów) oznacza rehabilitację myśli reakcyjnej w dosłownym i etymologicznym znaczeniu słowa. Nie chodzi przy tym o powrót do Josepha de Maistre'a, Louisa de Bonalda czy Blanca de Saint-Bonneta, co byłoby zabiegiem szytym grubymi nićmi, lecz raczej o przywracanie dawnych koncepcji judeochrześcijańskich w postaci rozwodnionej, zamaskowanej, obłudnie przeobrażonej.

Nie wysławia się jawnie teokracji, nie przekreśla się roku 1789 (choć i to się zdarza), nikt nie publikuje dzieła zatytułowanego *Du pape*, aby opiewać polityczną potęgę najwyższego pasterza, niemniej jednak potępia się indywidualizm, usiłuje pozbawić jednostkę wszelkich praw, obarcza się ją niezliczonymi powinnościami, wysławia kolektyw, postponuje monadę, odwołuje do transcendencji, uznaje się, że Kościół, z racji swej ontologicznej eksterytorialności, nie musi się przed nikim tłumaczyć, lekceważy się lud i piętnuje mianem populisty i demagoga każdego, kto nad tym faktem ubolewa, spogląda się z pogardą na tych intelektualistów i filozofów, którzy nadal wykonują swoją pracę, stawiając tym tendencjom zaciekły opór.

To, co w XVIII wieku określano mianem „antyfilozofii”, nigdy jeszcze nie było tak silne jak dziś. Religia powraca do łask, dowodząc, że Bóg nie umarł, uciał sobie tylko krótką drzemkę, a teraz właśnie się budzi, aby zrobić porządek z hałaśliwymi gagatkami, którzy dokazują pod jego oknem. Dlatego tak naglące i potrzebne jest dziś wznowienie krytyki ateistycznej, która spoczęła na laurach, nie ukończywszy swojej pracy. Wprowadzenie religii do szkoły to jak wpuszczenie wilka do owczarni. Kapłani nie mogą dziś działać z otwartą przyłbicą — nauczają bajek Starego i Nowego Testamentu, przekazują fikcje Koranu i hadisów nie po to, żeby kogoś indoktrynować, skądże! Chodzi jedynie o to, by ułatwić uczniom zrozumienie obrazów Marca Chagalla i *Boskiej Komedii*, Kaplicy Sykstyńskiej i pieśni Zirjaba.

A przecież o religii można uczyć w ramach już istniejących przedmiotów (filozofii [3], historii, literatury, plastyki, języków obcych), podobnie jak zaznajamia się uczniów z protonaukami: o alchemii wspomina się na przykład na lekcjach chemii, o fitognomonice i frenologii na lekcjach przyrody, o totemizmie i myśleniu magicznym na lekcjach filozofii, o geometrii euklidesowej na matematyce, o mitologii na historii... Historia poznania ukazuje, w jaki sposób mit, bajka, fikcja i irracjonalizm poprzedzają racjonalność, dedukcję, logiczną argumentację. Religia wywodzi się z pierwotnego, prymitywnego, archaicznego i przestarzałego modelu racjonalności. Wskrzeszanie tej protohistorii prowadzi do zaciemniania dziejów, jest szkodliwe dla historii obecnej i przyszłej.

Nauczanie ateizmu należy powiązać z archeologią uczuć religijnych: strachu, lęku przed spojrzeniem śmierci prosto w oczy, bolesnego uprzytomnienia sobie własnej skończoności, egzystencjalnej trwogi. Religia stanowi zbiór fikcji i ontologicznych placebo, które należałoby poddać szczegółowej analizie, podobnie jak filozofia pochyła się nad magią, szaleństwem i marginesami, aby zbliżyć się do definicji rozumu i wyznaczyć jej zakres.

Tektonika płyt

Nie wykroczyliśmy jeszcze poza teologiczne czy religijne stadium cywilizacji. Procesy

zachodzące w świecie ideologii przypominają te, które występują w tektonice płyt: zблиżanie, rozchodzenie się, nachodzenie na siebie, pękanie. Kontury kontynentu przedchrześcijańskiego są jasno zarysowane: od mitologii presokratyków po rzymski stoicyzm, od Parmenidesa do Epikteta. Pomiedzy tym światem pogańskim a kontynentem chrześcijańskim rozciągają się strefy turbulencji: od profetycznego milenaryzmu II wieku naszej ery aż po egzekucję Ludwika XVI (styczeń 1793 roku), która wyznacza kres teokracji. Kierunek ruchu konwekcyjnego jest jasno określony: od ojców kościoła aż po laicki deizm Oświecenia.

Te same prądy, które oddzieliły kontynent pogański od chrześcijańskiego, przyczyniają się obecnie do wyłonienia kontynentu pochrześcijańskiego. Pod wieloma względami końcowi ery przedchrześcijańskiej i narodzinom ery pochrześcijańskiej towarzyszą jednakowe zjawiska: nihilizm, lęki, napięcia między konserwatyzmem, dążeniami reakcyjnymi, tęsknotą za przeszłością i religią immobilizmu a umiłowaniem postępu, pozytywizmem i pokładaniem nadziei w przyszłości. Religia stoi po stronie nostalgii, filozofia jest prospektywna.

Wbrew potocznym przeświadczeniom walka nie toczy się między zachodnim, postępowym, światłym, demokratycznym i liberalnym judeochrześcijaństwem a wschodnim, archaicznym i obskurantycznym islamem. Ścierające się siły to wczorajsze monoteizmy i ateizm jutra. Bush i bin Laden mogą do woli obrzucać się inwektywami, prawdziwa bitwę prowadzą jednak Mojżesz, Jezus, Mahomet i religie księgi z baronem Holbachem, Ludwigiem Feuerbachem, Friedrichem Nietzsche oraz ich radykalną dekonstrukcją mitów i fikcji.

Historia doprowadzi do narodzin ery pochrześcijańskiej, tak jak dawniej powiła erę chrześcijańską: kontynent monoteistyczny jest zatapiałny. W religii Jedyne Boga nie należy dopatrywać się zwieńczenia filozofii ani też końca historii (tak samo błędne było uznawanie niegdyś komunizmu za nieprzekraczalny horyzont, nie mówiąc już o dzisiejszych próbach obsadzenia w tej roli liberalizmu). Era chrześcijańska wyłoniła się z ery przedchrześcijańskiej; równie nieuchronnie nastanie era pochrześcijańska. Obecny okres turbulencji to symptom formowania się nowych kontynentów. Dlatego projekt ateologiczny ma tak doniosłe znaczenie.

(...)

W STRONĘ ATEOLOGII

Judeochrześcijańska *episteme*

Nasza epoka nie jest więc ateistyczna, nie jest także — albo w niewielkim stopniu — pochrześcijańska. W gruncie rzeczy pozostaje ona chrześcijańska. Źródeł współczesnego nihilizmu należałoby szukać właśnie w zamęcie związanym z przechodzeniem od judeochrześcijaństwa, w dalszym ciągu dominującego, do pochrześcijaństwa, rysującego się dopiero na horyzoncie. Ten okres przejściowy przypomina garnek, w którym kotłuje się obecność i nieobecność bogów, ich osobliwa proliferacja i rosnąca ekstrawagancja. Niebo nie opustoszało, roi się wręcz od bóstw stwarzanych i ginących z dnia na dzień niczym jętki. Dzisiejszy nihilizm stanowi wypadkową rozkładu judeochrześcijaństwa i wyłaniającego się z wolna pochrześcijaństwa.

Nim nastanie era rzeczywiście ateistyczna, trzeba się liczyć z judeochrześcijańską *episteme*, wciąż zachowującą moc. Tym bardziej, że jej instytucje i oficjalni przedstawiciele nie są już tak widoczni, łatwo rozpoznawalni. Zanik praktyk religijnych, pozorna autonomia etyki względem religii, rzekoma obojętność wobec papieskiego nauczania, puste kościoły w niedziele (ale nie w czasie ślubów, nie wspominając nawet o pogrzebach), rozdział Kościoła i państwa - wszystko to sprawia wrażenie, iż epoka uwolniła się od religii.

Ostrożnie! Ten pozorny zanik skrywa potęgę i moc judeochrześcijaństwa równie silnego jak dawniej. Odchodzenie od praktyk nie świadczy o zamieraniu wiary. Ci, którzy wyciągają taki wniosek, popełniają karygodny błąd. Gdy profesjonaliści religii utracili religijny monopol, zwiększyła się obfitość *sacrum* i wzmożło podporządkowanie irracjonalności.

Odwrót oddziałów judeochrześcijańskich nie umniejsza ich władzy nad podbitymi terytoriami, którymi administrują od dwóch tysiącleci. Nasza planeta z dawien dawna stanowi ich zdobycz oraz strefę wpływów ideologicznych, intelektualnych, pojęciowych, czego dowody widać nawet w geografii. Zdobywcy, chociaż nieobecni fizycznie, pozostają obecni duchem, podbili bowiem ciała, dusze i umysły większości ludzi. Ten odwrót strategiczny nie zwiastuje kresu ich realnego panowania. Judeochrześcijaństwo pozostawia po sobie *episteme*, fundament, na którym opiera się wszelka wymiana myślowa i symboliczna. Choćby kościoły

przestały rzucać cień, choćby znikła religia i jej wyznawcy, ludzie nadal będą ujarzmieni, ukształtowani i sformatowani dwoma tysiącami lat dominacji ideologicznej. Dlatego tak aktualna i paląca jest walka z tą groźną siłą; groźną tym bardziej, im bardziej sprawia wrażenie osłabionej.

Obecnie mało kto wierzy w transsubstancjację, dziewictwo Marii, niepokalane poczęcie, nieomylność papieży i pozostałe dogmaty rzymskiego Kościoła apostołskiego. Rzeczywiste, a nie tylko symboliczne istnienie ciała Chrystusa w hostii? Geografia i logika piekła, raju lub czyśćca? Przedpiekle, w którym przebywają dusze niechrzczonych dzieciątek? Nawet gorliwi katolicy nie daliby dziś złamanego szeląga za te androny.

Gdzież więc szukać substratu katolicyzmu, judeochrześcijańskiej *episteme*? W przeświadczeniu, że materia, rzeczywistość i świat nie obejmują wszystkiego; że coś nie daje się objąć rozumem: jakaś moc, energia, wola, siła sprawcza. Czy po śmierci następuje nicość? Skądże, cośz pewnością zostaje. Czy zjawiska dają się wytłumaczyć za pomocą związków przyczynowo skutkowych, empirycznych obserwacji, rozumowych analiz, dedukcji? Nie, coś wymyka się logice. Czy świat to widowisko absurdałne, irracjonalne, alogiczne, potworne, bezsensowne? Broń Boże, musi przecież istnieć coś więcej, jakieś źródło sensu, usprawiedliwienie, uzasadnienie. Bo jeśli nie...

Z tej wiary w coś wyrastają nader żywotne przesady i zabobony skłaniające Europejczyka do wyznawania religii dominującej w kraju, w którym przyszedł na świat (religii króla i piastunki, jak pisał Kartezjusz). Montaigne twierdził, że chrześcijaninem jest się tak samo jak Pikardyjczykiem lub Bretończykiem, czyli niejako z urodzenia. Wiele osób mieniących się ateistami opowiada się bezwiednie za etyką, filozofią i wizją świata przesyconymi judeochrześcijaństwem. Trudno dopatrzeć się jakiejś zasadniczej różnicy między kazaniem uczciwego księdza wystawiającego wielkość Jezusa a mową pochwalną na cześć Chrystusa zawartą w *Etyce* Kropotkina, jednego z patronów anarchizmu.

Prawdziwy ateizm zakłada odrzucenie wszelkiej transcendencji. Pragnie przewyciężyć wszystkie chrześcijańskie przeświadczenia, a w każdym razie rości sobie prawo do selekcji i rozpatrzenia, w świetle rozumu, czy to, co religia uznaje za cnoty i przywary jest rzeczywiście godne uznania lub potępienia. Tłumaczenie biblijnych wartości na język świeckiej filozofii, aby je zachować i uwiecznić, nie ma nic wspólnego z etyką pochrześcijańską.

Religia w obrębie samego rozumu Immanuela Kanta to tekst niezwykle ważny w dziejach Europy, położone w nim bowiem zostały podwaliny świeckiej etyki. Jego rewolucyjny charakter przejawia się w formie, stylu, słownictwie. W rzeczywistości jednak mamy tu po prostu do czynienia z filozoficznym przeformułowaniem judeochrześcijańskiej spuścizny. Czym bowiem różnią się etyka chrześcijańska i etyka Kanta? Niczym. Kantowska góra urodziła chrześcijańską myś.

Wszyscy drwią sobie z papieskiego potępienia prezerwatyw? A mimo to kpiarze biorą ślub w kościele, twierdząc obłudnie, że czynią to jedynie przez wzgląd na rodziców. Ci, którzy zdobyli się na samozaparcie i przewertowali katechizm, nie mogą się wprost nadziwić ilości zawartych tam bredni? Zgoda, ale pogrzeby świeckie są doprawdy wyjątkiem. Ludzie śmieją się z księży i ich poglądów? To prawda, ale upraszają się o ich błogosławieństwa, współczesne odpusty, które godzą świętoszków z obu środowisk: petenci sprawiają przyjemność swoim bliskim, pasterze korzystają zaś z okazji, by odzyskać kilka zbłąkanych owieczek...

Ślady władzy

Michel Foucault określał mianem *episteme* niewidoczne, ale niezwykle skuteczne urządzenie dyskursów, wizji świata oraz sposobów ujmowania rzeczywistości, które cechują poszczególne epoki, krystalizując je i organizując wokół pewnego zbioru zastygłych przedstawień. *Episteme* judeochrześcijańska obejmuje to wszystko, co od ataków histerii Pawła z Tarsu na drodze do Damaszku aż po transmitowane na cały świat z placu Świętego Piotra telewizyjne widowiska z Janem Pawłem II w roli głównej wyznacza pojęciową i wyobrażeniową władzę, wprawdzie rozproszoną, ale obejmującą wszystkie aspekty cywilizacji i kultury. Przytoczę dwa z wielu przykładów, aby unaocznić ten przemożny wpływ chrześcijaństwa: ciało i prawo.

Ciało w kulturze Zachodu jest chrześcijańskie. Nawet ciało ateistów, muzułmanów, deistów czy agnostyków wychowanych w geograficznej i ideologicznej strefie judeochrześcijańskiej. Nasza cielesna powłoka, przyjmowany przez nas bezwiednie platońsko-

chrześcijański schemat ciała, symbolika narządów i ich zhierarchizowanych funkcji (szlachetność serca i mózgu, wulgarność trzewi oraz organów rozrodczych, górowanie neurochirurgii nad proktologią), spirytualizacja i odmaterializowanie duszy, zestawianie grzesznej materii z bezcielesnym, wzniosłym umysłem, ontologiczna stratyfikacja tych dwóch sztucznie przeciwstawionych komponentów, mroczne siły ekonomii libidinalnej ujmowane w kategoriach moralnych — oto sposoby tworzenia hierarchii na gruncie liczącego dwa tysiące lat dyskursu chrześcijaństwa. Anatomia, medycyna, fizjologia, ale również filozofia, teologia i estetyka współuczestniczą w tym chrześcijańskim formowaniu ciała.

Wspomniany dyskurs kształtuje spojrzenie lekarzy, specjalistów od radiologii i diagnostyki obrazowej, naznacza swoim piętnem filozofię zdrowia i choroby, normalności i patologii, pojmowanie cierpienia, podejście do bólu, farmacji, substancji znieczulających i narkotyków, wyznacza sposób, w jaki medyk zwraca się do pacjenta, a także stosunek do samego siebie, uwewnętrznienie własnego obrazu, konstrukcję idealnego „ja” fizjologicznego, anatomicznego i psychologicznego. Duch judeochrześcijaństwa unosi się nad chirurgią i farmakologią, medycyną alopacyjną i paliatywną, ginekologią i tanatologią, onkologią i epidemiologią, psychiatrią i psychologią, szpitalami i klinikami, nawet jeśli trudno rozpoznać symptomy tego ontologicznego skażenia.

Ta ukryta władza jest także przyczyną współczesnego przewrażliwienia bioetycznego. Świeckie decyzje polityczne w dziedzinie bioetyki pokrywają się w gruncie rzeczy ze stanowiskiem kościelnym. Trudno się dziwić, etyka bioetyków jest bowiem z gruntu judeochrześcijańska. Jeśli pominąć legalizację aborcji i sztuczną antykoncepcję, dwa ważne kroki w stronę ciała pochrześcijańskiego - albo, jak to określiłem w innej książce, ciała faustycznego - zachodnia medycyna pozostaje w dużym stopniu posłuszna zaleceniom Kościoła.

Watykańska *Karta pracowników służby zdrowia* potępia inżynierię genetyczną, badania naukowe prowadzone na zarodkach, dzieci z próbki, zastępcze matki, sztuczne zapłodnienie w przypadku heteroseksualnych par niemażeńskich lub par homoseksualnych, klonowanie zarówno reprodukcyjne, jak i terapeutyczne, koktajle znieczulające, które pozbawiają umierającego pacjenta świadomości, terapeutyczne zastosowanie konopi indyjskich, eutanazję. Opowiada się z kolei za metodami paliatywnymi i głosi, że cierpienie ma wzniosłe znaczenie pokutne i zbawcze. Komitety etyki, rzekomo świeckie i niezależne od religii, powtarzają owe nieprawdopodobne nonsensy niby papugi.

Lekarze, w chwili gdy zajmują się chorym ciałem, nie zdają sobie przeważnie sprawy, że myślą, działają i diagnozują na gruncie chrześcijańskiej *episteme*. Nie czynią tego świadomie, w grę wchodzi o wiele głębsze uwarunkowanie, sięgające czasów, w których kształtowały się ich temperament i zawodowa deontologia. Nieświadomość terapeuty i pacjenta hartowały się w jednakowej metafizycznej kąpieli. Ateizm zakłada pracę nad tymi potężnymi, choć niedostrzeganymi uwarunkowaniami, które odciskają się na życiu codziennym ciał. Przeprowadzenie szczegółowej analizy ciała płciowego, seksualnego i jego odniesień do świata wymagałoby jednak napisania odrębnej książki.

(...)

W stronę pochrześcijańskiej laickości

Trzeba zatem przewyciężyć laickość tak przesiąkniętą tym, przeciw czemu występuje. Chwalmy jej zasługi, wynośmy pod niebiosa jej pamiętne zwycięstwa, wznieśmy toast za wszystko, co jej zawdzięczamy. Nie wstrzymujmy jednak ruchu dialektycznego. Obecne i jutrzejsze walki wymagają nowego oręża, lepszego, skuteczniejszego, dostosowanego do naszej epoki. Jeszcze jeden wysiłek, żeby zdechrystianizować etykę, politykę i całą resztę. W tym również samą laickość, która wymaga radykalnej emancypacji od judeochrześcijańskiej metafizyki, jeśli ma nam posłużyć w dalszych bojach.

Zrównując wszystkie religie i ich krytykę, co postuluje obowiązująca dziś wykładnia laickości, firmujemy w istocie relatywizm: dekretujemy równość myślenia magicznego i myśli racjonalnej, bajki i mitu oraz rzeczowej argumentacji, dyskursu taumatycznego i myśli naukowej, między Tory i *Rozprawy o metodzie*, Nowego Testamentu i *Krytyki czystego rozumu*, Koranui *Z genealogii moralności*. Mojżesz wart jest Kartezjusza, Jezus — Kanta, a Mahomet — Nietzschego...

Równość wierzącego żyda, przeświadczonego, iż Bóg rozmawiał z jego przodkami i darzył ich szczególnymi względami — rozdzielając wody Morza Czerwonego, zatrzymując słońce... —

oraz filozofa, który rozumuje zgodnie z metodą hipotetyczno-dedukcyjną? Równość chrześcijanina przekonanego, iż jego bohater, zrodzony z dziewicy Maryi, ukrzyżowany za Poncjusza Piłata, zmartwychwstał trzeciego dnia, wiedzie odtąd spokojny żywot, siedząc po prawicy swojego ojca, i myśliciela analizującego fabrykację tej wiary, konstrukcję mitu, wytwarzanie opowieści? Równość muzułmanina utrzymującego, iż wychylenie lampki beaujolais i spałaszowanie wieprzowych żeberek zamknie przed nim na zawsze wrota raj, podczas gdy zamordowanie niewiernego szeroko je rozewrze, oraz skrupulatnego badacza, który, postępując zgodnie z zasadami pozytywizmu i empiryzmu, dowodzi, iż wiara monoteistyczna jest warta tyle samo co wierzenia animisty, na przykład Dogona twierdzącego, że duch jego przodków wraca pod postacią lisa? Jeśli tak, to równie dobrze możemy od razu przestać myśleć...

Ten relatywizm jest wyjątkowo szkodliwy. Pod pretekstem obrony laickości proklamuje się, że wszystkie dyskursy mają jednakową wartość: błąd i słuszność, prawda i fałsz, wywód logiczny i fantazjowanie. Mit i bajki znaczą tyle samo co rozum. Magia waży tyle co nauka, a marzenia senne — co rzeczywistość. Otóż dyskursy nie mają jednakowej wartości: dyskurs nerwicy, hysterii i mistycyzmu wywodzi się z innego porządku niż dyskurs pozytywizmu. Podobnie jak nie można podciągać pod jeden strychulec kata i ofiary, dobra i zła, nie można też dobrotliwie akceptować wszystkich porządków dyskursu, również tych, które wyrastają z pnia myślenia magicznego. Czy winniśmy zachować neutralność? Czy stać nas na taki luksus? Nie sądzę...

W chwili, gdy wartości Oświecenia ustępują pod naporem myślenia magicznego, trzeba się opowiedzieć za laickością pochrześcijańską, to znaczy ateistyczną, zaangażowaną i niegodzącą się na wybór między zachodnim judeochrześcijaństwem a islamem. Ani Biblia, ani Koran. Nad rabinów, księży, imamów i ajatollahów przedkładam filozofa. W obronie przed cudacznymi teologiami najbardziej pomocni będą ci myśliciele, których lekceważy oficjalna historia filozofii: szydery, materialści, radykałowie, cynicy, hedoniści, ateści, sensualści, piewcy rozkoszy. Mogą nas oni bowiem nauczyć, że istnieje tylko jeden świat. Wywyższając fikcyjne zaświaty, poniżamy świat autentyczny, a więc ten, w którym moglibyśmy żyć szczęśliwie. Oto grzech prawdziwie śmiertelny...

*

Całą książkę Onfraya można nabyć w [Księgarni Racjonalisty](#)

Przypisy:

[1] Francuski psycholog Émile Coué (1857-1926) proponował metodę "samoopanowania poprzez świadomą autosugestię", która polegała między innymi na powtarzaniu mantry: "dzień po dniu czuję się lepiej pod każdym względem" (*przyp. tłum.*).

[2] Rzymianie nie czcili Crepitusa, który został prawdopodobnie wymyślony przez Woltera. Przed Onfrayem na ten humbug dał się zresztą złapać Flaubert (*Kuszenie św. Antoniego*) (*przyp. tłum.*).

[3] We francuskim systemie edukacyjnym filozofia jest przedmiotem obowiązkowym w klasach maturalnych (*przyp. tłum.*).

Michel Onfray

Ur. 1959. Francuski filozof. Urodził się w Normandii w rodzinie farmerskiej. W latach 1983-2002 wykładał filozofię na wyższej uczelni w Caen. Następnie utworzył bezpłatny Université populaire de Caen, a manifest tej uczelni opublikował w roku 2004 (La communauté philosophique). Jego publikacje propagują hedonizm, poznanie naukowe i ateizm.

[Strona www autora](#)

[Pokaż inne teksty autora](#)



(Publikacja: 11-03-2008)

Oryginał. (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,5781>)

Contents Copyright © 2000-2008 by Mariusz Agnosiewicz
Programming Copyright © 2001-2008 Michał Przech

Autorem tej witryny jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.
Właścicielem witryny są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tej witryny i jakiegokolwiek ich części.

Wszystkie strony tego serwisu, wliczając w to strukturę podkatalogów, skrypty JavaScript oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tej witryny oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tej witryny i nie korzystać z jej zasobów.

Informacje zawarte na tej witrynie przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów serwisu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na witrynie. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych serwisu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl